

J. K. Rowling

**BAŚNIE
BARDA
BEEDLE' A**

Wstęp

Baśnie barda Beedle'a to zbiór opowieści dla młodych czarodziejów i czarownic. Rodzice czytają im je na dobranoc od wielu stuleci, więc trudno się dziwić, że baśnie o skaczącym garnku czy o Fontannie Szczęśliwego Losu są uczniom Hogwartu znane równie dobrze jak dzieciom mugoli bajki o Kopciuszku czy o Śpiącej Królownie. Baśnie Beedle'a mają wiele wspólnego z naszymi bajkami. Cnota jest w nich zwykle nagradzana, a niegodziwość karana. Jest też jednak zasadnicza różnica. W bajkach mugolskich czary są zazwyczaj źródłem kłopotów bohaterów – zła czarownica zatrąwa jabłko, żeby sprowadzić na królownę stuletni sen, albo zamienia księcia w obrzydliwą żabę. Natomiast bohaterowie *Baśni barda Beedle'a* sami posługują się czarami, co jednak wcale nie sprawia, że potrafią łatwiej od nas pokonać napotkane w życiu przeszkody. Dlatego wiele pokoleń młodych czarodziejów i czarownic poznawało poprzez te baśnie ważną, choć przykrą prawdę: magia może sprawić wiele dobrego, ale i wiele złego.

Inna różnica między baśniami Beedle'a a ich mugolskimi odpowiednikami polega na tym, że bohaterki tych baśni poszukują rozwiązania swoich problemów o wiele bardziej aktywnie niż bohaterki naszych bajek. Asza, Altheda, Amata czy Czara Mara nie czekają na królewicza, który przebudzi je ze stuletniego snu albo zwróci im zgubiony pantofelek, tylko same borykają się z przeciwnościami losu. Wyjątkiem jest praczka z baśni *Włochate serce czarodzieja*, która zachowuje się trochę tak, jak królowna z naszych bajek, ale warto zwrócić uwagę na fakt, że ta baśń nie kończy się tak dobrze znanym mugolskim dzieciom zdaniem: „I żyli długo i szczęśliwie”.

Bard Beedle żył w XV wieku, ale większość jego życia pozostaje dla nas tajemnicą. Wiemy, że urodził się w Yorkshire i że miał wyjątkowo bujną brodę, jak wynika z jedyne go zachowanego do dziś drzeworytu z jego podobizną. Jeśli te baśnie odzwierciedlają prawdziwe poglądy ich autora, darzył mugoli sympatią, uważając, że choć nie grzeszą rozumem, nie zasługują jednak na bezwarunkowe potępienie. Nie ufał też czarnej magii i wierzył, że jeśli w świecie czarodziejów dochodziło do okropnych niegodziwości, to wynikało to zwykle z ulegania zbyt ludzkim skłonnościom do okrucieństwa, nieczułości i pychy. Bohaterowie, którzy triumfują w jego baśniach, nie są obdarzeni jakąś wyjątkową mocą magiczną, odznaczają się natomiast szlachetnością, zdrowym rozsądkiem i pomysłowością.

Bardzo podobne poglądy miał również znany czarodziej naszych czasów, profesor Albus Persiwal Wulfryk Brian Dumbledore, kawaler Orderu Merlina I klasy, dyrektor Szkoły Magii i Czarodziejstwa w Hogwarcie, Najwyższa Szycha Międzynarodowej Konfederacji Czarodziejów i Naczelnny Mag Wizengamotu. Pomimo tego podobieństwa, odnalezienie notatek profesora na temat *Baśni barda Beedle'a* w dokumentach przekazanych przez niego w testamencie Archiwum Hogwartu było nie lada niespodzianką. Nigdy się nie dowiemy, czy komentarze te pisał dla własnej satysfakcji, czy z zamiarem ich przyszłej publikacji, jesteśmy jednak wdzięczni pani profesor Minerwie McGonagall, obecnemu dyrektorowi Hogwartu, za wspańiałomyślną zgodę na zamieszczenie ich w tej książce jako przypisów do przekładu baśni dokonanego przez Hermionę Granger. Mamy nadzieję, że wnikliwe uwagi profesora Dumbledore'a, zawierające odniesienia do historii świata czarodziejów, osobiste wspomnienia i wyjaśnienia kluczowych znaczeń każdej baśni, pomogą nowym pokoleniom młodych czarodziejów i mugoli docenić tę wyjątkową książkę. Wszyscy, którzy znali osobiście profesora Dumbledore'a, zgodzą się, że z zadowoleniem udzieliliby wsparcia projektowi wydania tej książki, zwłaszcza że dochód z jej sprzedaży ma zasilić konto Children's High Level Group – organizacji działającej na rzecz setek tysięcy anonimowych dzieci żyjących w domach dziecka i umożliwiającej im odnalezienie nowych rodzin.

Chyba mam prawo dodać jedną małą uwagę do komentarzy profesora Dumbledore'a. Wiele wskazuje na to, że zostały ukończone jakieś osiemnaście miesięcy przed tragicznymi wydarzeniami, które miały miejsce na szczycie Wieży Astronomicznej w Hogwarcie. Każdy, kto zna historię niedawnej wojny czarodziejów (a więc i każdy, kto przeczytał siedem tomów opowieści o Harrym Potterze), będzie świadom, że profesor Dumbledore ujawnia w swoim komentarzu nieco mniej, niż wie – albo podejrzewa – o ostatniej baśni zamieszczonej w tym zbiorze.

Wynika to chyba z przekonania, które wiele lat temu Albus Dumbledore wyraził w rozmowie ze swoim ulubionym i najsłynniejszym uczniem:

Prawda to cudowna i straszliwa rzecz, więc trzeba się z nią obchodzić ostrożnie.

Możemy się z profesorem Dumbledore'em zgadzać lub nie, ale powinniśmy docenić, że pragnął uchronić swoich przyszłych czytelników przed pokusami, którym sam uległ, za co zapłacił tak straszną cenę.

J. K. Rowling 2008

Nota do przypisów

Profesor Dumbledore pisał swoje komentarze dla czarodziejów, więc pozwoliłam sobie na uzupełnienie ich krótkimi wyjaśnieniami dotyczącymi niektórych terminów i faktów, które mogą być mało czytelne dla mugoli.

JKR

Czarodziej i skaczący garnek

Żył raz pewien dobry, życzliwy ludziom stary czarodziej, który używał swojej mocy magicznej mądrze i wspaniałomyślnie dla dobra bliźnich. Był przy tym tak skromny, że nie ujawniał prawdziwego źródła swojej mocy, ale udawał, że wszystkie jego eliksiry, zaklęcia i antidota wyskakują z małego kociołka, który nazywał swoim „garnkiem szczęścia”. Zewsząd przychodzili do niego ludzie ze swoimi kłopotami, a on chętnie mieszał chochlą w tym garnku i rozwiązywał ich problemy.

Ten otaczany powszechną czcią czarodziej dożył sędziwego wieku i w końcu zmarł, pozostawiając cały dobytek swojemu jedyjnemu synowi. Niestety, ów syn bardzo różnił się od ojca. Uważał, że ci, którzy nie potrafią uprawiać czarów, są istotami bezwartościowymi, i często wyrzucał ojcu, że trwoni swą magiczną moc, pomagając mieszkającym w pobliżu mugolom.

Po śmierci ojca syn ów znalazł w starym garnku małą paczuszkę oznaczoną jego imieniem. Otworzył ją, mając nadzieję, że znajdzie w niej złoto, ale znalazł tylko stary bambosz, o wiele na niego za mały i w dodatku bez pary. W bamboszu był kawałek pergaminu ze słowami: „Z głęboką nadzieją, synu, że nigdy nie będziesz musiał go użyć”.

Syn przeklął siarczyście osłabiony wiekiem rozum swego ojca i wrzucił z powrotem bambosz do kociołka, postanawiając używać go odtąd jako kubła na śmieci.

Tej samej nocy do jego drzwi zapukała pewna wieśniaczka.

– Wielmożny panie, moją wnuczkę obsypało brodawkami! – wyjęczała. – Wasz ojciec, panie, mieszał w takim starym garnku i dawał na to specjalny wywar do okładów...

– Idź precz! – ryknął syn czarodzieja. – Co mnie obchodzą brodawki twojej głupiej wnuczki?

I zatrasnął staruszcze drzwi przed nosem. Gdy tylko to uczynił, z kuchni dobiegł go jakiś hałas. Zapalił różdżkę, otworzył drzwi do kuchni i tam, ku swojemu zdumieniu, ujrzał stary kociołek ojca, ale jakiś zmieniony, bo z jego dna wyrosła mosiężna nóżka, na której skakał po kamiennych płytach posadzki, robiąc straszliwy hałas. Podeszedł do niego, wielce zadziwiony, ale natychmiast odskoczył, bo ujrzał, że całą powierzchnię kociołka pokrywają brodawki.

– Obrzydlistwo! – zawołał i spróbował najpierw zaklęcia powodującego znikanie, potem zaklęcia oczyszczającego, a w końcu zaklęcia odsyłającego.

Żadne zaklęcie nie działało! Co więcej, obsypany brodawkami garnek zaczął go ścigać, podskakując z hałasem po drewnianych schodach wiodących do sypialni.

Tej nocy czarodziej nie zmrzążył oka, bo bezczelny garnek łomotał okropnie tuż przy jego łóżku przez całą noc, a rano natychmiast podążył za nim do kuchni, gdzie dalej podskakiwał tuż przy stole na swojej mosiężnej nóżce. BANG, KLANG, BANG, BANG-BANG, KLANG-KLANG!...

Zanim czarodziej zdążył zasiąść do porannej owsianki, znowu rozległo się pukanie do drzwi.

W progu stał jakiś staruszek.

– Wielmożny panie, idzie o mojego starego osła – wyjaśnił. – Gdziesik zaginął albo go ukradli, nie wiem, ale bez niego nie zawiozę towarów na targ i wieczorem moja rodzina będzie głodna.

– A ja jestem głodny teraz! – ryknął czarodziej i zatrzaskał staruszkowi drzwi przed nosem.

KLANG, BANG, KLANG, wystukiwał żwawo garnek, podskakując na mosiężnej nóżce, ale teraz do owego hałasu dołączył się ryk osła i donośne jęki wygłodniałych ludzi, dobiegające z czeluści garnka.

– *Silencio!* – wrzasnął czarodziej, ale zaklęcie nie podziałało.

Nic nie działało, nic nie potrafiło uciszyć obsypanego brodawkami garnka, który skakał wokół czarodzieja, stukając, podzwaniając, rycząc, jęcząc i nie odstępując go przez cały dzień.

Tego wieczoru po raz trzeci rozległo się pukanie do drzwi. Na progu stała młoda kobieta, zanosząc się płaczem.

– Moja dziecina jest bardzo chora – wyjęczała przez łyzy. – Pomożesz nam, wielmożny panie? Wasz ojciec, panie, mówił, żebym przyszła, jak będę miała kłopoty...

Ale czarodziej bez słowa zatrzaskał jej drzwi przed nosem.

I natychmiast dokuczliwy garnek wypełnił się po brzegi słoną wodą, wylewając na podłogę łyzy, a przy tym nadal podskakiwał, ryczał i jęczał, i coraz to nowe brodawki wyrastały na nim jak grzybki po deszczu.

Przez resztę tygodnia do drzwi domu czarodzieja nie zastukał już żaden wieśniak ani wieśniaczka, ale garnek nieustannie informował go o nowych chorobach i nieszczęściach. Już nie tylko ryczał i jęczał, nie tylko podskakiwał i wylewał gorzkie łyzy, nie tylko zakwitał coraz to nowymi obrzydliwymi brodawkami, ale krztusił się i bekał, płakał żałośnie jak niemowlę, szczekał jak pies, a co gorsza, wymiotował zgniłym serem, skwaśniałym mlekiem i masą

wygłodniałych ślimaków.

Czarodziej nie mógł spać ani jeść, dręczony przez garnek, którego nie sposób było się pozbyć ani go uciszyć.

W końcu nie mógł już tego znieść.

– No dobra, dawajcie mi tu wszystkie swoje kłopoty, choroby i nieszczęścia! – wrzasnął, wyskakując w nocy z domu i biegnąc drogą wiodącą do wioski, z garnkiem wytrwale skaczącym obok niego. – Dalej! Zaraz was wyleczę, ukoję i ponaprawiam wasze życie! Mam kociołek mojego ojca i dogodzę wszystkim!

I pobiegł uliczką wioski, miotając zaklęcia we wszystkie strony.

W jednym domu pozniwały wszystkie brodawki, którymi obsypana była pogrążona we śnie dziewczynka; do stajni innego domostwa został przywołany z wrzosowiska stary osioł; w jeszcze innym domu chore niemowlę obudziło się zdrowe i rumiane. Z każdego domu czarodziej przeganiał choroby i nieszczęścia, a skaczący garnek stopniowo cichł, aż w końcu przestał jęczeć i wymiotować obrzydlistwami, i załśnił czystym mosiądzem, uspokojony i milczący.

– No i co, panie Garnku? – zapytał czarodziej, drżąc z wysiłku, kiedy słońce zaczęło już wschodzić.

Garnek bez słowa wypluł z siebie bambosz i pozwolił włożyć go sobie na nóżkę. Razem ruszyli w drogę do domu czarodzieja, ale teraz nie było już słychać stukotu mosiężnej nóżki, obutej w miękkie filcowy pantofel. I od tego czasu czarodziej pomagał wieśniakom, jak niegdyś czynił to jego ojciec, lękając się, by garnek nie zrzucił bambosza i znowu nie zaczął podskakiwać i hałasować.

Komentarz Albusa Dumbledore'a do baśni

Czarodziej i skaczący garnek

Dobrotliwy stary czarodziej postanawia obudzić sumienie swojego nieczulego syna, dając mu odczuć gorycz ludzkiego nieszczęścia. Lekcja okazuje się skuteczna i młody czarodziej zaczyna używać swojej magicznej mocy do pomagania mieszkającym w pobliskiej wiosce mugolom. Jeśli ktoś uzna, że to tylko podnosząca na duchu bajeczka, to okaże się naiwnym głupcem. Promugolska bajka ukazująca uwielbiającego mugoli ojca, który jest potężniejszym czarodziejem od swojego gardzącego mugolami syna? Nie do wiary, że choć jedna kopia oryginalnej wersji tej baśni uratowała się przed płomieniami, które tak często trawiły podobne manuskrypty!

Beedle odstawał od swoich czasów, wzywając do braterskich stosunków z mugolami. Od początków XV wieku w całej Europie narastała fala prześladowań czarownic. Wielu czarodziejów czuło, że wyleczenie za pomocą zaklęcia chorego prosiaka, należącego do mieszkającego po sąsiedzku mugola, może ich zaprowadzić na stos¹. Dlatego coraz częściej wołali: „Niech mugole radzą sobie bez nas!” i coraz bardziej oddalali się od swoich pozbawionych magicznych mocy braci, co znalazło w końcu swój ostateczny wyraz w uchwaleniu przez Międzynarodową Konfederację Czarodziejów w 1689 roku Zasad Tajności i ukryciu się społeczności czarodziejskiej przed mugolami.

Trudno było jednak pozbawić dzieci tak poruszających ich wyobraźnię baśni jak ta o skaczącym garnku, zdecydowano się więc na osłabienie jej promugolskiej wymowy. W połowie XVI wieku krążyła już inna wersja tej baśni, w której skaczący garnek chroni niewinnego czarodzieja przed mugolami wymachującymi pochodniami i widłami, odpędzając ich od jego domu, ścigając i po kolei połykając. Kiedy garnek połknął już większość sąsiadów czarodzieja, reszta przyrzeka mu, że odtąd będzie mógł żyć w spokoju i uprawiać czary. Ujęty tym czarodziej każe garnkowi zwymiotować połknięte w całości ofiary, co też garnek czyni,

¹ To prawda, że obdarzeni autentyczną magiczną mocą czarodzieje i czarownice potrafili na ogół uniknąć stosu, katowskiego pieńka lub stryczka (por. moje uwagi na temat Lisette de Lapin w komentarzu do baśni *Czara Mara i jej gdaczący pieniek*), ale do pewnej liczby mordów jednak doszło. Sir Nicholas de Mimsy-Porpington (za życia czarodziej na królewskim dworze, po śmierci duch Wieży Gryffindoru) został pozbawiony różdżki, zanim zamknięto go w lochu, i nie był w stanie skorzystać ze swojej magicznej mocy, by uniknąć egzekucji. Ginęło też wielu młodych członków rodzin czarodziejskich, bo młodzi jak to młodzi, nie zawsze potrafili skutecznie z magii korzystać i stawali się łatwym celem mugolskich łowców czarownic.

choć ocaleni w ten sposób mugole wychodzą z tej opresji nieco wymięci i połamani. Do dziś w wielu czarodziejskich rodzinach (na ogół nastawionych wrogo do mugoli) opowiada się dzieciom właśnie tę zmienioną wersję baśni, więc są bardzo zaskoczone, jeśli natrafią gdzieś na wersję oryginalną.

Wyraźnie promugolski morał nie był jednak jedynym powodem, dla którego oryginalna wersja baśni *Czarodziej i skaczący garnek* wzbudzała taką niechęć. W miarę srożenia się coraz bardziej okrutnych prześladowań, rodziny czarodziejów zaczęły prowadzić podwójne życie, wykorzystując magię do ochrony przed łowcami czarownic. W XVII wieku każdy, kto bratał się z mugolami, stawał się podejrzany, a często bywał po prostu wykluczony ze społeczności czarodziejów. Prócz wielu obelg, na jakie był narażony (z tego właśnie okresu pochodzą takie epitety, jak „błotoryj”, „łajnojad” i „szlamoliz”), dominowało przekonanie, że tacy czarodzieje mają lichą magiczną moc, którą w dodatku nie potrafią się skutecznie posługiwać.

Wpływowi czarodzieje tamtych czasów, tacy jak Brutus Malfoy, wydawca „Walczącego Maga”, wyraźnie antymugolskiego periodyku podziemnego, utrwalali stereotyp, zgodnie z którym sympatyk mugoli to prawie charłak². W 1675 roku Brutus pisał:

Niechaj będzie wiadome wszem wobec: czarodziej, któren znajduje upodobanie w mugolskiej kompanii, niechybnie odznacza się lichym rozumem, a słabość jego magicznej mocy, jeśli w ogóle taką zarządza, godna jest pożałowania. Taki może czuć się kimś lepszym tylko w mugolskim chlewie.

Nie masz pewniejszej oznaki lichości magicznej mocy nad słabość wobec tych, którzy nie są i nigdy nie będą nią obdarzeni.

Do wykorzenia tego przesądu przyczynił się niewątpliwie fakt, że niektórzy wielcy, słynni w całym świecie czarodzieje³ byli wielkimi sympatykami mugoli.

Przejdźmy do jeszcze jednego zarzutu wobec baśni *Czarodziej i skaczący garnek*, który i dzisiaj bywa powtarzany w pewnych kręgach. Być może najwyraźniej sformułowała go Beatrix Bloxam (1794-1910), autorka osławionych *Opowieści spod muchomora*. Pani Bloxam uważała, że *Baśnie barda Beedle'a* są dla dzieci szkodliwe z powodu „ich niezdrowego

² Charłak to ktoś urodzony w czarodziejskiej rodzinie, ale niemający magicznej mocy. Takie przypadki są bardzo rzadkie; o wiele częściej spotyka się czarodziejów i czarownice urodzone w rodzinach mugolskich – JKR.

³ Tacy jak ja.

skupiania się na takich okropnościach, jak śmierć, choroba, wymioty, rozlew krwi, obrzydliwe uszkodzenia cielesne, niegodziwe czary i wynaturzone charaktery”. I zabrała się ochoczo do pracy, przerabiając wiele starych bajek, w tym również kilka baśni Beedle’a, zgodnie ze swoimi ideałami, które ujęła w takich słowach: „Trzeba wypełnić nieskażone umysły naszych milusińskich zdrowymi, szczęśliwymi myślami, chroniąc ich słodkie dziecięce sny przed okropnymi koszmarami i pielęgnując przezysty kwiat ich niewinności”.

A oto zakończenie jej słodkiej i przezystej przeróbki *Czarodzieja i skaczącego garnka*:

Wówczas mały złoty garnuszek zatańczył z uciechy – hop-hopla-hop! – na swojej różowej nóżce. Wiluś Siusialik uzdrowił wszystkie laleczki! Już nie będą ich bolały brzuszki! Garnuszek był tak szczęśliwy, że wypełnił się pysznymi słodyczami dla Wilusia Siusialika i jego laleczek!

– Ale nie zapomnijcie dobrze wyczyścić swoich ślicznych ząbków! – zawołał garnuszek.

A Wiluś Siusialik przytulił mocno garnuszek, wycalował jego złoty brzuszek i przyrzekł mu, że odtąd będzie zawsze pomagać laleczkom i już nigdy nie stanie się starym gburowatym zrzędem.

Bajka pani Bloxam nieodmiennie wywołuje taką samą reakcję u kolejnych pokoleń dzieci czarodziejów: spontaniczne wymioty, po których następuje kategoryczne żądanie, by rodzice natychmiast wzięli książkę i stłukli ją na miazgę.

Fontanna Szczęśliwego Losu

Na szczycie wzgórza w zaczarowanym ogrodzie, otoczona wysokim murem i chroniona potężnymi zaklęciami, tryskała Fontanna Szczęśliwego Losu.

Raz do roku, między wschodem i zachodem słońca najdłuższego dnia, zaklęcia traciły swoją moc, a w murze otwierała się szczelina, by wpuścić do zaczarowanego ogrodu tylko jednego nieszczęśnika, którego odtąd można było nazywać nie lada szczęśliwcem, bo mógł się skapać w wodach fontanny i zapewnić sobie szczęśliwy los na resztę życia.

W przeddzień owego dnia wędrowały tam z całego kraju setki ludzi, by stanąć u stóp muru przed zachodem słońca. Mężczyźni i kobiety, bogacze i biedacy, młodzi i starzy, obdarzeni magiczną mocą i jej pozbawieni – wszyscy gromadzili się tam w zapadającym mroku, a każdy żywił nadzieję, że to jemu przypadnie w udziale wejście do zaczarowanego ogrodu o świcie następnego dnia.

I zdarzyło się, że w noc poprzedzającą ów świt spotkały się tam trzy czarownice, każda obciążona nieszczęściem, mając nadzieję, że cudowna woda fontanny na zawsze je od ciężaru tych nieszczęść uwolni. Czekając na wzejście słońca, opowiadały sobie o swoich utrapieniach.

Pierwsza, o imieniu Asza, cierpiała na chorobę, której nie potrafił wyleczyć żaden uzdrowiacz. Miała nadzieję, że dokonają tego wody fontanny, obdarzając ją długim i szczęśliwym życiem.

Drugą, o imieniu Altheda, zły czarnoksiężnik obrabował z domu, majątku i ródzki. Miała nadzieję, że wody fontanny przywrócą jej magiczną moc i wybawią z nędzy.

Trzecia, o imieniu Amata, została porzucona przez mężczyznę, którego bardzo kochała, co złamało jej serce. Miała nadzieję, że wody fontanny uwolnią ją od rozpacz i tęsknoty.

Kiedy trzy czarownice wysłuchały swoich żalonych opowieści, uznały, że jeśli to przed którąś z nich otworzy swoje wrota zaczarowany ogród, spróbują razem wejść do środka i dotrzeć do cudownych wód fontanny.

I oto na niebie rozbłył pierwszy promień słońca, a w murze otworzyła się szczelina. Tłum zafalował i napał do przodu, a każdy wykrzykiwał wniebogłosy, że to jemu należy się błogosławieństwo szczęśliwego losu. Przez szczelinę wysunęły się jak węże zaczarowane pnącza, prześliznęły się przez tłum i owinęły wokół pierwszej czarownicy, Aszy. Szybko

chwyciła za nadgarstek drugą czarownicę, Althedę, a ta złapała mocno szatę trzeciej czarownicy, Amaty.

A rozwiana szata Amaty zaczepiła się o zbroję posępnego rycerza, który siedział na wychudzonym koniu...

Pnącza wciągnęły trzy czarownice przez szczelinę w murze razem z rycerzem, który spadł z siodła swojego wierzchowca.

Rześkie powietrze poranka wypełnił ryk zawiedzionego tłumu, a potem zapadła głucha cisza, gdy mur ogrodu zawarł ponownie swe podwoje.

Asza i Altheda były wściekle na Amatę, która przypadkowo pociągnęła za sobą rycerza.

– Przecież tylko jedna osoba może wykąpać się w fontannie! Już między nami trzema wybór byłby trudny, a teraz jest nas czworo!

Baron Pechowiec, jak nazywano rycerza w jego stronach, spostrzegł, że ma do czynienia z czarownicami, a nie będąc czarodziejem i nie mając zbyt wielkiej wprawy w walce na kopie lub miecze, uznał, że powinien się wycofać, co też natychmiast głośno oznajmił.

Na to z kolei obruszyła się Amata.

– Nie bądź tchórzem! – zgromiła go. – Dobądź miecza, rycerzu, i pomóż nam dotrzeć do celu!

Tak więc trzy czarownice i pechowy rycerz ruszyli przez zaczarowany ogród, w którym po obu stronach zalanych słońcem ścieżek krzewiły się bujnie rzadkie odmiany ziół, owoców i kwiatów. Bez przeszkód dotarli do stóp wzgórza, na którego szczycie tryskała Fontanna Szczęśliwego Losu.

Tu jednak czekała ich przykra niespodzianka. Wokół wzgórza owinięta była olbrzymia Glista, biała, rozdęta i ślepa. Kiedy się zbliżyli, uniosła ku nim plugawy łeb i oznajmiła:

Zapłać mi smakiem twojego bólu.

Baron Pechowiec dobył miecza i natarł na bestię, ale klinga pękła przy pierwszym uderzeniu. Potem Altheda zaczęła ciskać w Glistę kamieniami, a Asza i Amata wyciągnęły różdżki, miotając w nią najróżniejszymi zaklęciami, lecz moc ich różdżek okazała się równie mało skuteczna jak kamienie Althedy i stal rycerza. Glista nie chciała ich przepuścić.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i wyżej, a zrozpaczona Asza zaczęła płakać.

I oto Glista przysunęła swój ohydny łeb do jej twarzy i spiła łyżę spływające Aszy po policzkach, a zaspokoiwszy pragnienie, odpełzła i zniknęła w jamie pośród trawy.

Trzy czarownice i rycerz zaczęli się wspinać na wzgórze, pewni, że dotrą do fontanny,

zanim nastanie południe.

W połowie zbocza spotkała ich jednak druga przykra niespodzianka. W ziemi wyryte były następujące słowa:

Zapłać mi owocem swojej pracy.

Baron Pechowiec wyjął jedyną monetę, którą posiadał, i położył na trawiastym zboczu, ale moneta potoczyła się w dół i przepadła. Ruszyli dalej w górę, ale choć mijały godziny, nie zbliżyli się ani na krok do szczytu, a tajemniczy napis wciąż był przed nimi.

Słońce minęło najwyższy punkt swojej wędrówki po niebie i zaczęło powoli opadać ku dalekiemu widnokręgowi. Altheda, która wyprzedzała ich w tej mozolnej wspinaczce, nie przestawała nawoływać, by nie szczydzić sił, choć sama nie zbliżyła się do szczytu nawet o krok.

– Odwagi, przyjaciele, nie poddawajcie się! – zawołała, ocierając pot z czoła.

Kiedy krople jej potu zaślśniły na ziemi, napis nagle zniknął. Stwierdzili, że teraz każdy krok znowu zbliża ich do celu.

Uradowani z pokonania drugiej przeszkody ruszyli ochoczo w górę, aż wreszcie dostrzegli z oddali fontannę połyskującą jak kryształ pośród kwiatów i drzew.

Zanim jednak do niej dotarli, drogę zagroził im strumień biegnący wokół szczytu wzgórza. Woda w nim była tak czysta, że z łatwością odczytali napis na gładkim kamieniu spoczywającym na dnie:

Zapłać mi skarbem swojej przeszłości.

Baron Pechowiec próbował przepłynąć strumień na swojej tarczy, ale ta natychmiast zatonała. Trzy czarownice wyciągnęły go z wody, po czym próbowały przeskoczyć przez strumień, ale każda musiała uznać, że to niemożliwe.

A tymczasem słońce coraz bardziej zniżało się do widnokręgu.

Zaczęły więc roztrząsać znaczenie owego napisu na kamieniu i Amata pierwsza pojęła, o co chodzi. Za pomocą różdżki wydobyla z pamięci wszystkie wspomnienia szczęśliwych chwil spędzonych ze swoim utraconym kochankiem i wrzuciła je do strumienia. Wartki nurt porwał je natychmiast, a przejście przez strumień okazało się teraz dziecinnie proste.

I oto w promieniach zachodzącego słońca połyskiwały przed nimi wody fontanny tryskającej pośród ziół i kwiatów tak pięknych, jakich jeszcze nigdy żadne z nich nie

widziało. Niebo pokraśniało, nadszedł czas, by postanowić, kto skąpie się w zaczarowanych wodach.

Zanim jednak zdążyli dokonać wyboru, wąż Asza padła bez zmysłów na ziemię. Wyczerpana wspinaczką na wzgórze była już bliska śmierci.

W szlachetnym porywie chcieli ją zanieść do fontanny, ale pogrążona w agonii Asza błagała, by jej nie dotykali.

Wówczas Altheda zaczęła pośpiesznie zrywać zioła, które uznała za najbardziej w tym przypadku skuteczne, wymieszała je z wodą w manierce barona Pechowca i wlała eliksir w usta Aszy.

Gdy Asza przełknęła eliksir, natychmiast powstała. Co więcej, znikły wszystkie objawy choroby, która przywiodła ją do zaczarowanego ogrodu.

– Jestem uzdrowiona! – krzyknęła. – Nie potrzebuję już fontanny, niech w jej wodach wykąpie się Altheda!

Ale Altheda była zajęta zbieraniem ziół do fartucha.

– Skoro potrafię uleczyć tę chorobę, szybko stanę się bogata! Niech się wykąpie Amata!

Baron Pechowiec skłonił się i wskazał fontannę Amacie, ale ona potrząsnęła głową. Strumień spłukał z niej cały żal do utraconego kochanka. Nagle zrozumiała, że był okrutnikiem i obłudnikiem i że tracąc go, tylko na tym zyskała.

– Szlachetny panie, to ty musisz się wykąpać w wodach fontanny w nagrodę za twoją rycerskość!

Tak więc rycerz wstąpił do sadzawki w ostatnich promieniach zachodzącego słońca i wykąpał się w wodach Fontanny Szczęśliwego Losu, zdumiony, że to właśnie na niego, takiego pechowca, padł wybór, choć przed murami zaczarowanego ogrodu zgromadziły się setki ludzi.

Kiedy słońce zniknęło za widnokrzem, baron Pechowiec wyszedł spod fontanny, promieniejąc radością i dumą, po czym rzucił się do stóp Amaty, która była najszlachetniejszą i najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek spotkał. Zarumieniony ze szczęścia poprosił ją o rękę i serce, a Amata, równie jak on szczęśliwa, uświadomiła sobie, że oto znalazła mężczyznę godnego jej miłości.

Trzy czarownice i rycerz zeszli ze wzgórza ramię w ramię i odtąd wszyscy czworo żyli długo i szczęśliwie, a żadne z nich nawet nie podejrzewało, że wody Fontanny Szczęśliwego Losu wcale nie były zaczarowane.

Komentarz Albusa Dumbledore'a do baśni

Fontanna Szczęśliwego Losu

Fontanna Szczęśliwego Losu cieszy się od dawna wielką popularnością w świecie czarodziejów. Była nawet próba wystawienia jej podczas uroczystości Bożego Narodzenia w Hogwarcie.

Ówczesny nauczyciel zielarstwa, profesor Herbert Beery⁴, wielki entuzjasta przedstawień amatorskich, zaproponował swoją adaptację tej ulubionej przez dzieci baśni i pokazanie jej podczas Balu Bożonarodzeniowego. Byłem wówczas młodym nauczycielem transmutacji i Herbert uczynił mnie odpowiedzialnym za „efekty specjalne”. Wywiązałem się z tego sumiennie, tworząc na użytek spektaklu w pełni działającą Fontannę Szczęśliwego Losu i miniaturowe porośnięte trawą wzgórze, które zapadało się powoli pod scenę w miarę wspinaczki czworga bohaterów na jego szczyt.

Niech mi będzie wolno stwierdzić bez nagannej próżności, że zarówno moja fontanna, jak i wzgórze całkiem nieźle odegrały swoją rolę. Niestety, nie można tego powiedzieć o reszcie obsady (o groteskowej olbrzymiej Gliście, którą dostarczył profesor Silwanus Kettleburn, nauczyciel opieki nad magicznymi zwierzętami, będzie jeszcze mowa), a zwłaszcza o aktorach. Profesor Beery jako reżyser nie miał zielonego pojęcia o emocjonalnych komplikacjach, do jakich doszło tuż pod jego nosem. Nie wiedział, że uczennica odgrywająca rolę Amaty była dziewczyną ucznia grającego barona Pechowca, ale ów związek rozpadł się na godzinę przed podniesieniem kurtyny, kiedy „Pechowiec” rozgorzał nieposkromionym afektem do „Aszy”.

Wystarczy powiedzieć, że w naszej pantomimie czwórka bohaterów nigdy nie dotarła na szczyt wzgórza. Zaledwie podniosła się kurtyna, gdy „Glista” – w rzeczywistości popielek⁵ powiększony przez profesora Kettleburna do gigantycznych rozmiarów za pomocą zaklęcia rozdymającego – eksplodowała w chmurze iskier i pyłu, wypełniając Wielką Salę dymem i fragmentami dekoracji. Od olbrzymich, rozżarzonych do czerwoności jaj, które popielek

⁴ Profesor Beery opuścił później Hogwart i został wykładowcą w Czarodziejskiej Akademii Teatralnej. Kiedy go tam odwiedziłem, wyznał mi, że odczuwa silną niechęć do reżyserowania tej baśni, gdyż uważa, iż przynosi pecha.

⁵ Opis tego dziwnego zwierzęcia można znaleźć w książce *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć*. Popielka nie wolno pod żadnym pozorem wprowadzać do pomieszczenia, którego ściany wyłożone są boazerią, a rzucanie na niego zaklęcia rozdymającego trzeba uznać za przejaw wyjątkowej nieodpowiedzialności.

złożył u stóp mego wzgórza, zajęły się klepki podłogi na scenie. „Amata” i „Asza” zaczęły ze sobą walczyć, nie bacząc, że profesor Beery znalazł się w krzyżowym ogniu ich zaklęć. Trzeba było zarządzić ewakuację sali, bo szalejąca pożoga zagrażała już wszystkim. Tej nocy wszystkie łóżka w skrzydle szpitalnym były zajęte. Gryzący śwąd utrzymywał się w Wielkiej Sali przez kilka dobrych miesięcy, jeszcze dłużej trwało przywracanie głowie profesora Beery’ego normalnych proporcji, a profesor Kettleburn został zawieszony w wykonywaniu swoich obowiązków⁶. Dyrektor Armando Dippet wydał bezterminowy zakaz wystawiania pantomim, co stało się chlubną tradycją Hogwartu aż do dziś.

Bez względu na naszą spektakularną porażkę artystyczną, *Fontanna Szczęśliwego Losu* pozostaje nadal chyba najbardziej popularną z baśni Beedle’a, choć podobnie jak *Czarodziej i skaczący garnek* ma swoich przeciwników. Niejeden rodzic żądał usunięcia jej z biblioteki Hogwartu, a warto tu wymienić choćby potomka Brutusa Malfoya i byłego członka Rady Nadzorczej Hogwartu, Lucjusza Malfoya. Pan Malfoy tak uzasadniał swoje żądanie:

Dla jakiegokolwiek utworu, który opisuje parzenie się czarodziejów z mugolkami bądź mugoli z czarownicami, nie ma miejsca na półkach biblioteki Hogwartu. Nie życzę sobie, by mój syn był narażony na skalanie czystości swojej krwi lekturą dzieł, które promują małżeństwa mieszane.

Moją odmowę usunięcia tej książki z biblioteki poparła większość członków Rady Nadzorczej. W liście do Lucjusza Malfoya tak uzasadniałem swoją decyzję:

Tak zwane „rody czystej krwi” chępią się swoją rzekomą „czystością”, choć w rzeczywistości ukrywają obecność w swoim rodowodzie mugoli albo czarodziejów mugolskiego pochodzenia, posługując się fałszerstwami, nieudomowieniami lub ordynarnymi kłamstwami. Następnie próbują zarazić swoją hipokryzją resztę społeczności czarodziejów, żądając zakazu lektury dzieł ukazujących fakty, którym zaprzeczają. Nie ma czarownic albo czarodziejów,

⁶ Jako nauczyciel opieki nad fantastycznymi zwierzętami profesor Keetleburn był zawieszany sześćdziesiąt dwa razy. Jego stosunki z moim poprzednikiem w Hogwarcie, profesorem Dippetem, zawsze były napięte. Profesor Dippet uważał go za osobę co najmniej lekkomyślną. Kiedy ja zostałem dyrektorem Hogwartu, profesor Kettleburn wyraźnie się usatkwował, choć nie brakowało takich, którzy ze zjadliwym cynizmem twierdzili, że trudno spodziewać się jakichś wyskoków po osobie pozbawionej większości członków.

w których nie płynie choć cząstka mugolskiej krwi, więc żądanie usunięcia z biblioteki Hogwartu dzieł na ten temat uważam za nielogiczne i niemoralne.

Reakcją na moją odpowiedź było kilka kolejnych listów pana Lucjusza Malfoya, ale ponieważ zawierały one głównie obelżywe uwagi na temat stanu mojego umysłu, mojego pochodzenia i mojej czystości osobistej, ich wartość poznawcza jest tak mierna, że rezygnuję z odnoszenia się do nich w tym komentarzu.

Ta wymiana korespondencji stała się początkiem długiej kampanii, w której pan Malfoy starał się za wszelką cenę doprowadzić do usunięcia mnie ze stanowiska dyrektora Hogwartu. Ja ze swojej strony robiłem wszystko, co w mojej mocy, by pan Malfoy przestał być ulubionym śmierciożercą Lorda Voldemorta.

Włochate serce czarodzieja

Był raz pewien przystojny, bogaty i utalentowany czarodziej, który doszedł do wniosku, że jego przyjaciele głupieją, kiedy się zakochają. Tracą apetyt, stroją się cudacznie, podskakują, a nawet wywijają koziolki – jednym słowem, pozbywają się przyrodzonej im godności. Młody czarodziej postanowił nigdy nie stać się ofiarą takiej słabości. Wykorzystał do tego swoją moc magiczną i wiele skomplikowanych zaklęć.

Nieświadoma tego rodzina czarodzieja naśmiewała się z jego nienaturalnej obojętności na kobiece wdzięki.

– Wszystko się zmieni – mówili – kiedy wreszcie wpadnie mu w oko jakaś piękna dziewczyna!

Nic jednak nie wskazywało na to, by do takiej zmiany rzeczywiście miało dojść. Choć wyniosły, tajemniczy młodzieniec intrygował wiele dziewcząt, które sięgały po najbardziej wymyślne sekrety uwodzenia, by go usidlić, żadnej się to nie udawało. Czarodziej pozostawał obojętny na ich wdzięki, chełpiąc się w duchu z mądrości, która mu ową obojętność zapewniła.

Mijały lata, a z nimi młodość czarodzieja. Jego rówieśnicy zaczęli się żenić i płodzić dzieci.

Mają serca jak strączki – szydził z nich w duchu – łuskane przez te nienasycone, wiecznie marudzące bachory!

I po raz kolejny pogratulował sobie mądrości swojego wcześniejszego wyboru.

W końcu zmarli jego sędziwi rodzice. Nie oplakiwał ich, przeciwnie, uznał to za błogosławieństwo losu. Teraz został jedynym włodarzem ich majątku i zamieszkał sam w wielkim zamku, pośród mnogiej służby spełniającej wszystkie jego zachcianki.

Czarodziej był przekonany, że wszyscy zazdroszczą mu jego błogosławionej, niczym niezakłóconej samotności. Dlatego ogarnął go gniew, ale i wielki smutek, gdy pewnego razu podsłuchał rozmowę dwóch lokajów na swój temat.

Pierwszy służący wyraził współczucie wobec ich pana, tak możnego i bogatego, a jednak nieobdarzonego niczyją miłością.

– A nie zastanawia cię, dlaczego człowiek posiadający tyle złota i okazały zamek nie jest w stanie znaleźć sobie żony? – zapytał drugi lokaj, a w jego głosie wyraźnie pobrzmiwało

szyderstwo.

Te słowa były dla czarodzieja niczym bolesny policzek wymierzony w jego dumę.

Uznał, że musi natychmiast znaleźć sobie żonę i że musi to być żona, jakiej nikt nie ma i nigdy mieć nie będzie. Musi być najpiękniejsza, musi budzić zazdrość i pożądanie w każdym mężczyźnie, który na nią spojrzy, musi pochodzić z rodu czarodziejów czystej krwi, tak aby ich potomstwo odziedziczyło wyjątkową magiczną moc, musi też co najmniej dorównywać mu bogactwem, bo nie wyobrażał sobie, by założenie rodziny mogło w jakikolwiek sposób narazić go na konieczność wyrzeczenia się wystawnego i wygodnego życia, do jakiego przywykł.

Znalezienie takiej żony mogło zająć czarodziejowi nawet pięćdziesiąt lat, zdarzyło się jednak, że już na drugi dzień po powzięciu przez niego takiego postanowienia w bliskim sąsiedztwie pojawiła się dziewczyna odpowiadająca wszystkim jego wymaganiom. Przybyła odwiedzić swoich krewnych.

Była wyjątkowo utalentowaną czarownicą, miała też olbrzymi majątek. Porażała pięknnością i wdziękiem serca wszystkich mężczyzn, którzy na nią spojrzeli – wszystkich prócz jednego. Serce czarodzieja pozostało obojętne. Uznał jednak, że takiej właśnie żony szukał, więc zaczął starać się o jej rękę.

Wszyscy, którzy zauważyli zmianę w wyglądzie i zachowaniu czarodzieja, byli tym zdumieni i mówili dziewczynie, że udało się jej to, czego nie potrafiły przed nią dokonać setki dziewcząt.

Piękną dziewczynę czarodziej ów fascynował i zarazem odpychał. Wyczuwała chłód pod jego pochlebstwami i umizgami, nigdy też nie spotkała człowieka tak dziwnego i skrytego. Jej krewni uważali jednak, że byłby to związek nadzwyczaj pożądany, a pragnąc jak najszybciej do niego doprowadzić, przyjęli zaproszenie czarodzieja na wielką ucztę wydaną na cześć owej dziewczyny.

Była to uczta godna króla. Na stole lśniła złota i srebrna zastawa, podawano najlepsze wina i najbardziej wykwintne potrawy. Minstrele przygrywali tęsknie na lutniach o strunach z jedwabiu, śpiewając słodkie pieśni o miłości, której ich pan nigdy nie zaznał. Dziewczyna siedziała na tronie obok czarodzieja, który szeptał jej do ucha czułe słówka skradzione poetom, nie mając pojęcia o ich prawdziwym znaczeniu.

Dziewczyna słuchała go zdumiona, aż w końcu powiedziała:

– Piękne to słowa, miły czarodzieju, i radowałaby mnie twoja ku mnie skłonność, gdybym tylko wiedziała, że masz serce!

Czarodziej uśmiechnął się i odpowiedział, że może łatwo zaspokoić jej ciekawość

i uśmierzyć obawy. Powstał, wyciągnął do niej rękę i poprosił, by za nim poszła. Poprowadził ją do lochu, gdzie trzymał swój najcenniejszy skarb.

Tutaj, w kryształowej szkatułce, spoczywało bijące serce czarodzieja.

Dawno temu odłączone od oczu, uszu i palców, nigdy nie uległo czarowi piękna, melodyjnego głosu i dotyku jedwabistej skóry. Dziewczynę przeraził ten widok, bo serce było wyschnięte, skurczone i pokryte długimi czarnymi włosami.

– Och, nieszczęsny, cóżes uczynił! – zawołała. – Błagam cię, włóż je z powrotem tam, gdzie jego miejsce!

Widząc, że nie sposób odmówić jej błaganiom, czarodziej wyciągnął różdżkę, uniósł wieczko kryształowej szkatułki, otworzył swoją klatkę piersiową i umieścił włochate serce w pustej jamie, którą niegdyś zajmowało.

– Teraz zostałeś uzdrowiony i poznasz prawdziwą miłość! – krzyknęła dziewczyna, po czym go objęła.

Dotyk jej gładkich, białych ramion, tchnienie jej oddechu w jego ucho, woń jej ciężkich, złotych włosów – wszystko to przeszło przebudzone serce strzałami niezrozumiałej emocji. Podczas długiego uwięzienia w ciemnym lochu stało się bowiem ślepe i głuche, odrętwiałe i zdziczałe, pożądając tego, co samolubne i przewrotne.

Tymczasem w wielkiej sali goście zaniepokoiли się tak długą nieobecnością gospodarza i pięknej dziewczyny. Kiedy mijały godziny, a oni nie wracali, zaczęto przeszukiwać cały zamek.

W końcu odnaleziono ich w lochu, a był to zaiste straszny widok.

Dziewczyna leżała na podłodze martwa, z rozciętą piersią, a przy niej klęczał czarodziej, trzymając w okrwawionej ręce wielkie, gładkie, szkarłatne serce, które lizał i gładził, ślubując zamienić je na własne.

W drugiej ręce trzymał różdżkę, którą próbował wywabić ze swojej piersi skurczone, włochate serce. Ono jednak było silniejsze od niego i tkwiło w jego rozwartej klatce piersiowej, odmawiając uwolnienia go spod swojej władzy lub powrotu do kryształowej trumienki, w której tak długo było uwięzione.

I oto na oczach struchlałych ze zgrozy gości czarodziej odrzucił różdżkę i chwycił srebrny sztylet. Wołając, iż nigdy się nie zgodzi, by rządziło nim jego własne serce, wyciął je sobie z piersi.

Przez chwilę klęczał z wyrazem triumfu na twarzy, ściskając po jednym sercu w każdej dłoni, a potem padł na ciało dziewczyny i wyzionął ducha.

Komentarz Albusa Dumbledore'a do baśni

Włochate serce czarodzieja

Jak widzieliśmy, pierwsze dwie baśnie Beedle'a spotkały się z krytyczną oceną ze względu na propagowanie wspaniałomyślności, tolerancji i miłości. Krytycyzm taki nie dotknął baśni *Włochate serce czarodzieja*, w której przez te kilka stuleci odkąd została napisana, nie próbowano dokonywać żadnych zmian. Jej runiczna wersja, którą poznałem, prawie w niczym nie odbiegała od tej, którą usłyszałem jako dziecko z ust mojej matki. Nie sposób jednak nie dostrzec, że to najbardziej makabryczna z baśni Beedle'a, i wielu rodziców wzdraga się przed zapoznawaniem z nią swoich dzieci do czasu, gdy staną się na tyle dojrzałe, by nie mieć nocnych koszmarów⁷.

Dlaczego więc ta przerażająca baśń jednak przetrwała w niezmienionej wersji przez całe stulecia? Skłaniam się do wniosku, że *Włochate serce czarodzieja* odwołuje się do mrocznych głębi naszej osobowości, do największej i najsłabiej uświadamianej przez nas tęsknoty, jaką budzi w nas magia: pragnienia osiągnięcia stanu niewrażliwości na wszelkie zranienia.

Pragnienie to jest oczywiście niemożliwe do spełnienia, a ten, kto się ludzi, iż znajdzie na to sposób, jest naiwnym głupcem. Żadnemu człowiekowi, bez względu na to, czy jest obdarzony magicznymi zdolnościami, czy nie, jeszcze nigdy nie udało się uniknąć jakiegokolwiek formy zranienia, fizycznego, umysłowego czy emocjonalnego. Podatność na zranienie jest tak związana z życiem ludzkim jak oddychanie. Jednak my, czarodzieje, jesteśmy szczególnie skłonni ulegać przekonaniu, że możemy naginać naturę ludzkiej egzystencji do naszej woli. Na przykład młody czarodziej⁸ z tej baśni jest przekonany, że zakochanie się w kimś miałooby

⁷ W dzienniku Beatrix Bloxam można wyczytać, że nigdy nie odzyskała spokoju wewnętrznego po wysłuchaniu tej baśni, opowiedanej przez ciotkę starszym kuzynom. „Zupełnie przypadkowo moje uszko znalazło się w pobliżu dziurki od klucza. Wyobrażam sobie, że musiałam być wprost sparaliżowana ze strachu, bo nieopatrznie wysłuchałam tej bajki od początku do końca, a była jeszcze bardziej odrażająca niż niezdrowa przygoda z miejscową wiedźmą i workiem złośliwych skaczących cebulek, w którą się wplątał mój wuj Nobby. Szok, jakiego doznałam, spowodował, że byłam bliska śmierci, przez tydzień nie wychodziłam z łóżka, a później nabrałam traumatycznego zwyczaju wędrowania co noc w letargu do owych drzwi i przystawiania ucha do dziurki od klucza, aż w końcu mój kochany papcio położył temu kres, rzucając co wieczór Zakłęcie Czasowego Przylepca na drzwi mojej sypialni”. Trudno się dziwić, że Beatrix nie uznała tej baśni za godną przeczystych uszek dziecięcych i nie umieściła jej w swoich *Opowieściach spod muchomora* nawet w zmienionej wersji.

⁸ Hermiona Granger użyła w swoim przekładzie z runów na angielski słowa *warlock*. To bardzo stare słowo. Choć bywa używane zamiennie z terminem *wizard*, czyli czarodziej, początkowo oznaczało kogoś, kto

zgubny wpływ na jego poczucie bezpieczeństwa i wygodne życie, do którego przywykł. Miłość jest dla niego upokorzeniem, słabością, uszczupleniem emocjonalnych i materialnych zasobów osoby ludzkiej.

Uprawiany z powodzeniem od wieków handel napojami miłosnymi dowodzi jednak, że nasz czarodziej nie jest bynajmniej osamotniony w swoim dążeniu do zapanowania nad nieprzewidywalnymi wybrykami miłości. Poszukiwanie prawdziwego eliksiru miłosnego⁹ trwa do dziś, ale jak dotąd nikomu nie udało się takiego napoju uwarzyć, a najwybitniejsi twórcy eliksirów wątpią, by było to w ogóle możliwe.

Bohater tej baśni nie jest jednak wcale zainteresowany jakimś surogatem miłości, który mógłby stworzyć lub zniszczyć według swojej woli. Pragnie pozostać na zawsze zaszczerpiony przeciw temu co uważa za rodzaj choroby, i dlatego za pomocą jakiegoś czarnoksięskiego zaklęcia usuwa serce ze swojej piersi i trzyma je w kryształowej trumience. Oczywiście coś takiego może się zdarzyć tylko w bajce.

Wielu autorów dostrzegło podobieństwo między tym wątkiem baśni a tworzeniem horkruksa.

Choć bohater Beedle'a nie szuka śmierci, oddziela coś, czego oddzielić nie można – serce od reszty ciała, a nie duszę od ciała – a czyniąc tak gwałci pierwsze z Fundamentalnych Praw Magii ustalonych przez Adalberta Wafflinga:

Jeśli zapragniesz manipulować najgłębszymi tajemnicami – źródłem życia, istotą ludzkiej natury – bądź przygotowany na najbardziej nieprzewidywalne, niezwykle groźne konsekwencje.

jest biegły w magicznych sztukach walki. Tym mianem obdarzano również czarodziejów, którzy dokonali czynów wymagających wielkiego męstwa, podobnie jak u mugoli pasowano takich mężczyzn na rycerzy. Nadając czarodziejowi z tej baśni tytuł *warlocka*, Beedle chciał wskazać, że musiał on już wcześniej na to zasłużyć, czyli był biegły w magicznych sztukach walki. Dzisiaj brytyjscy czarodzieje używają terminu *warlock* w dwóch znaczeniach: dla opisanie czarodzieja o wyjątkowo groźnym wyglądzie albo jako tytułu czarodzieja niezwykle uzdolnionego i mającego wybitne osiągnięcia. I tak, na przykład, sam Dumbledore nosił tytuł *Chief Warlock of the Wizengamot*. JKR. {Nie ma dobrego polskiego odpowiednika słowa *warlock*, więc tłumacz był zmuszony oddać je słowem „mag”. AP}.

⁹ Hektor Dagworth-Granger, założyciel Nadzwyczajnego Towarzystwa Eliksiarów, wyjaśnia: „Talentowany twórca eliksirów jest w stanie wzbudzić w kimś niezwykle silne zauroczenie miłosne, lecz jeszcze nikomu nie udało się sprokurować prawdziwie niezłomnego, trwałego, bezwarunkowego przywiązania do drugiej osoby, jedynie godnego miana Miłości”.

I rzeczywiście, pragnąc być nadczłowiekiem, ten nierozsądny młodzieniec pozbawił się człowieczeństwa. Serce, które zamknął w lochu, powoli wyschło, skurczyło się i pokryło włosami, co symbolizuje jego osunięcie się do poziomu zwierzęcia. Przemienił się w dzikie zwierzę, które bierze to, czego zapagnie, siłą, i postradał życie, na próżno próbując odzyskać to, czego już nigdy odzyskać nie mógł – ludzkie serce.

Wyrażenie „mieć włochate serce” trąci myszką, ale jest czasem używane w języku codziennym dla określenia czarodzieja lub czarownicy o nieczułym sercu. Moja ciotka Honoria, która była starą panną, zawsze twierdziła, że zerwała swoje zaręczyny z pewnym czarodziejem z Urzędu Niewłaściwego Użycia Czarów, ponieważ odkryła, że „ma włochate serce”. (Krażyła jednak pogłoska, że przyłapała go na pieszczaniu chorbotków¹⁰, co było dla niej prawdziwym wstrząsem). Nie tak dawno na listy bestsellerów trafiła książka *Włochate serce: poradnik dla czarodziejów, którzy nie chcą się angażować uczuciowo*¹¹.

¹⁰ Chorbotek to różowe, porośnięte szczecina, podobne do grzyba stworzenie. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś mógłby znajdować przyjemność w pieszczaniu chorbotków. Więcej informacji na temat tych niezwykłych stworzeń można znaleźć w dziele *Fantastyczne zwierzęta i jak je znaleźć*.

¹¹ Nie należy mylić tego dzieła z książką *Włochaty pysk, ludzkie serce*, zawierającej poruszający opis zmagania się autora z likantropią, czyli wilkołactwem.

Czara Mara i jej gdaczący pieniek

Dawno temu w pewnym dalekim kraju żył głupi król, który postanowił, że tylko on będzie miał moc magiczną.

Rozkazał więc dowódcy swojej armii utworzyć Brygadę Łowców Czarownic i wyposażył ją w sforę krwiożerczych czarnych psów. Nakazał też, by w każdej wiosce i w każdym mieście jego państwa odczytano następujące wezwanie: „Król poszukuje nauczyciela magii”.

Żaden prawdziwy czarodziej ani żadna prawdziwa czarownica nie odważyli się odpowiedzieć na to wezwanie, bo wszyscy ukrywali się przed Brygadą Łowców Czarownic.

Znalazł się jednak pewien sprytny szarlatan, niemający w sobie ani krzty mocy magicznej, który zwietrzył w tym sposobność łatwego wzbogacenia się i przybył do pałacu królewskiego, oznajmiając, że jest czarodziejem obdarzonym niezwykłą mocą. Zaprezentował kilka prostych sztuczek, co utwierdziło głupiego króla w przekonaniu, że przybysz jest wybitnym czarodziejem, więc został natychmiast mianowany Naczelnym Wielkim Czarownikiem i Osobistym Mistrzem Królewskim.

Szarlatan zażądał od króla opasłego worka złota, aby zakupić różdżki i inne magiczne akcesoria. Zażądał też kilkunastu wielkich rubinów, które miały być niezbędne do rzucania zaklęć uzdrawiających, i paru srebrnych kielichów do przechowywania eliksirów. Głupi król spełnił jego żądania, nie zadając zbędnych pytań.

Szarlatan ukrył owe drogocenne przedmioty w swoim domu i powrócił na pałacowe błonia.

Nie wiedział, że obserwowała go pewna stara kobieta, która mieszkała w szopie na skraju pałacowych błoni. Miała na imię Mara i była praczką, dbającą o czystość, wonność i biel królewskiej pościeli. Zerkając spoza schnących na słońcu prześcieradeł, dostrzegła, że szarlatan zerwał dwie gałązki z jednego z drzew w królewskim parku i zniknął w pałacu.

Szarlatan wręczył jedną z gałązek królowi i zapewnił go, że jest to różdżka o niezwyklej mocy.

– Będzie jednak działać tylko wtedy – dodał – gdy staniesz się jej wart.

Każdego ranka szarlatan i głupi król wychodzili na pałacowe błonia, gdzie wymachiwali różdżkami i wykrzykiwali różne „zaklęcia”, które oszust wymyślał na poczekaniu. Był na tyle sprytny, że co jakiś czas zadziwiał króla nowymi sztuczkami, utwierdzając go w przekonaniu

o swoich wyjątkowych uzdolnieniach magicznych i o mocy różdżek, które kosztowały tyle złota.

Pewnego ranka, gdy szarlatan i głupi król wymachiwali różdżkami, podskakiwali w kółko i wyśpiewywali bzdurne rymowanki, do uszu króla dobiegło głośnie rechotanie. To praczka Mara obserwowała ich przez okienko swojej szopy i zanosila się tak gromkim śmiechem, że wreszcie nogi odmówiły jej posłuszeństwa i padła na podłogę, tarzając się ze śmiechu.

– Muszę chyba wyglądać niezbyt godnie, skoro ta stara praczka tak się zaśmiewa na mój widok! – rzekł ze złością król, po czym przestał podskakiwać i wymachiwać gałązką. – Mam już dosyć tych nieustannych ćwiczeń! Magu, powiedz mi, kiedy będę mógł rzucać prawdziwe zaklęcia na oczach moich poddanych?

Szarlatan próbował udobruchać swojego ucznia, zapewniając go, że już wkrótce będzie potrafił dokonywać niezwykłych magicznych wyczynów. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak boleśnie ugodził króla rechot Mary.

– Jutro – rzekł król – zaprosimy wszystkich dworzan, aby ich zadziwić moją magiczną mocą!

Szarlatan zrozumiał, że nadszedł czas, by zabrać swoje skarby i uciekać, gdzie pieprz rośnie.

– Niestety, wasza królewska mość, to niemożliwe! Zapomniałem powiedzieć waszej królewskiej mości, że jutro muszę się udać w daleką podróż...

– Jeśli opuścisz pałac bez mojej zgody, czarowniku, psy mojej Brygady Łowców Czarownic szybko cię wytropią i rozerwą na kawałki! Jutro rano będziesz mi towarzyszył, gdy będę rzucał potężne zaklęcia na oczach moich dworzan, a jeśli ktokolwiek parskanie śmiechem, zostaniesz pozbawiony głowy!

Król powrócił pośpiesznie do pałacu, pozostawiając szarlatana drżącego ze strachu. Pomimo całego swojego sprytu poczuł się zgubiony, bo nie mógł uciec, a dobrze wiedział, że nie pomoże królowi mocą magiczną, której żaden z nich nie posiadał.

Szukając upustu dla swojego gniewu i strachu, podszedł do domku praczki Mary. Zajrzawszy przez okienko, zobaczył staruszkę siedzącą przy stole i polerującą różdżkę. W kącie stała drewniana balia, w której same się prały królewskie prześcieradła.

Szarlatan natychmiast pojął, że Mara jest prawdziwą czarownicą i że ta, która była sprawczynią jego kłopotów, może go również z nich wyciągnąć.

– Wiedzmo! – ryknął. – Drogo mnie kosztował twój rechot! Jeśli mi pomożesz nie donieść, że jesteś czarownicą, i to cię nie rozerwą na strzepy królewskie psy!

Stara Mara uśmiechnęła się i zapewniła, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby mu pomóc.

Szarlatan kazał jej ukryć się w krzakach, kiedy król będzie dawał pokaz swych magicznych zdolności na oczach całego dworu, i po cichu rzucać prawdziwe zaklęcia zamiast niego, oczywiście bez jego wiedzy. Mara zgodziła się, ale zadała szarlatanowi jedno pytanie:

– A jeśli król spróbuje rzucić zaklęcie, którego Mara nie jest w stanie rzucić?

Szarlatan roześmiał się drwiąco.

– Twoja znajomość magii dorównuje wyobraźni tego głupca, a nawet ją przewyższa – zapewnił czarownicę i powrócił do zamku dumny z własnej przebiegłości.

Następnego ranka na pałacowych błoniach zgromadzili się książęta i baronowie z całego królestwa w towarzystwie swoich małżonek. Król, z szarlatanem u boku, wkroczył na zbudowane specjalnie podium.

– Najpierw sprawię, że zniknie kapelusz tej damy! – zawołał, celując różdżką w małżonkę jakiegoś barona.

Ukryta w krzakach Mara szybko wycelowała swoją różdżkę w kapelusz owej damy, który natychmiast zniknął. Po błoniach poniósł się pomruk zdumienia zgromadzonego tłumu, a potem oklaski i wiwaty na cześć uradowanego króla.

– A teraz sprawię, że ten koń pofrunie! – zawołał król, wskazując różdżką na własnego wierzchowca.

Mara szybko wycelowała różdżkę w rumaka, który wzbił się wysoko w powietrze.

Tłum był jeszcze bardziej zdumiony i jeszcze głośniejsze były wiwaty na cześć króla-czarodzieja.

– A teraz... – zaczął król, rozglądając się w poszukiwaniu nowego pomysłu, gdy nagle z tłumu wybiegł kapitan Brygady Łowców Czarownic i zawołał:

– Wasza królewska mość, dziś rano Szabla zdechła po zjedzeniu trującego muchomora! Niech wasza królewska mość przywróci jej życie! Wystarczy jedno machnięcie różdżki!

Po czym wniósł na podium martwe ciało największego z krwiożerczych psów ze sfory tropiącej czarownicy.

Głupi król machnął różdżką i wycelował nią w martwą sukę. Ukryta w krzakach Mara nawet nie uniosła swojej różdżki, tylko się uśmiechnęła. Dobrze wiedziała, że nie ma takiego zaklęcia, które mogłoby przywrócić komuś życie, obojętne, czy człowiekowi, czy zwierzęciu.

Kiedy pies nawet nie drgnął, w tłumie najpierw rozległy się szepty, a potem wybuchły głośne śmiechy. Dworzanie zaczęli podejrzewać, że pierwsze dwa wyczyny króla były zwykłymi sztuczkami.

– Dlaczego to nie działa?! – ryknął król do szarlatana, który nie stracił głowy.

– Tam, wasza królewska mość, o, tam! – krzyknął szarlatan, wskazując na krzak, w którym ukryła się Mara. – Ach, widzę ją, widzę tę przeklętą czarownicę, to ona tłumi twoją magiczną moc swoimi złośliwymi zaklęciami! Łapać ją!

Mara wybiegła z krzaka, a Brygada Łowców Czarownic natychmiast puściła się za nią w pogoń. Spuszczone ze smyczy psy pomknęły, ujadając i wietrząc jej krew. Nagle jednak znikła im z oczu za grzbietem niskiej skarpy, a kiedy król, szarlatan i wszyscy dworzanie zbiegli ze skarpy, ujrzeli sforę psów miotających się wokół pochylonego starego drzewa.

– Zamieniła się w drzewo! – wrzasnął szarlatan i obawiając się, by czarownica nie przemieniła się z powrotem w kobietę i nie wyjawiała jego chytrego planu, dodał: – Trzeba ją ściąć, wasza królewska mość! Tak trzeba potraktować każdą złą czarownicę!

Natychmiast przyniesiono siekiere i ścięto stare drzewo pośród głośnych wiwatów dworzan i szarlatana.

Wszyscy ruszyli do pałacu, gdy nagle zatrzymał ich donośny rechot.

– Głupcy! – zawołał głos Mary z pieńka, który pozostał po drzewie. – Nie można uśmiercić żadnej czarownicy i żadnego czarodzieja, przecinając ich na dwie połowy! Jeśli mi nie wierzycie, weźcie siekiere i przetnijcie na pół Wielkiego Czarownika!

Kapitan Brygady Łowców Czarownic ochoczo chwycił za siekiere, ale kiedy wznosił ją nad szarlatanem, ten padł na kolana, błagając o litość, i wyznał prawdę. Gdy go powleczono do lochu, pieniek zagadał jeszcze głośniej niż uprzednio:

– Nieszczęsny królu, przecinając czarownicę na dwie połowy, ściągnąłeś na twoje królestwo straszliwe przekleństwo! Odtąd każdą krzywdę zadaną czarownicom i czarodziejom odczujesz jako cios siekiery wymierzony w twój bok, a udręka twoja będzie tak wielka, że zapragniesz własnej śmierci!

Na te słowa król również padł na kolana, zaklinając się, że natychmiast wyda edykt chroniący wszystkie czarownice i wszystkich czarodziejów w całym królestwie oraz zezwalający im na uprawianie czarów.

– Znakomicie – rzekł pieniek – ale jeszcze nie naprawiłeś krzywdy wyrządzonej Marze!

– Uczynię wszystko, czego zażadasz, wszystko! – zawołał głupi król, załamując ręce przed pieńkiem.

– Wzniesiesz na mnie posąg Mary upamiętniający biedną praczkę, żeby ci na zawsze przypominał twoją własną głupotę!

Król natychmiast przyrzekł to uczynić, dodając, że zatrudni do tego najlepszego rzeźbiarza w kraju, a posąg będzie ze szczerego złota. Potem zawstydzony król i wszyscy

baronowie ze swoimi żonami wrócili do pałacu.

Kiedy pałacowe błonia opustoszały, z jamy między korzeniami pieńka wysunął się najpierw opatrzone bokobrodami pyszczek, a po chwili cały królik. Ściślej mówiąc, była to stara króliczka trzymająca w zębach różdżkę. Mara pomknęła w podskokach przez błonia i znikła gdzieś za nimi.

Wkrótce na pieńku ustawiono złoty posąg praczki, którą zaczęto odtąd nazywać Czarą Marą, i od tego czasu w całym królestwie nikt już nie prześladował czarownic i czarodziejów.

Komentarz Albusa Dumbledore'a do baśni

Czara Mara i jej gdaczący pieniek

Baśń *Czara Mara i jej gdaczący pieniek* jest pod wieloma względami najbardziej „prawdziwa” ze wszystkich baśni Beedle'a, bo opisywane w niej czary zgodne są prawie całkowicie ze znanymi prawami magii.

To właśnie z tej baśni wielu z nas po raz pierwszy poznało tę bolesną prawdę, że magia nie jest w stanie przywrócić utraconego życia. Wielki to był dla nas wstrząs i wielki zawód, bo przecież jako dzieci byliśmy przekonani, że nasi rodzice są w stanie ożywić nasze martwe szczury i koty jednym machnięciem różdżki. Choć już sześć wieków minęło od czasu napisania tej baśni przez Beedle'a i choć od tego czasu zdołaliśmy wymyślić mnóstwo sposobów podtrzymywania iluzji stałej obecności naszych drogich zmarłych¹², nie wynaleziono jeszcze sposobu ponownego połączenia ciała i duszy po śmierci. Jak pisze wybitny czarodziejski filozof Bertrand de Pensees-Profondes w swoim znakomitym dziele *Studium możliwości odwrócenia faktycznych i metafizycznych skutków naturalnej śmierci, ze szczególnym uwzględnieniem reintegracji esencji i materii*: „Porzućcie to marzenie. To się nigdy nie uda”.

Opowieść o Czarze Marze zawiera jednak jedną z najwcześniejszych literackich wzmianek o animagu, bo przecież praczka Mara posiadała ową rzadką magiczną zdolność przemieniania się w zwierzę.

Zdolnością tą obdarzony jest jedynie niewielki procent członków naszej czarodziejskiej społeczności. Osiągnięcie jej wymaga wielu lat studiów i praktyki, a większość z nas uważa, że lepiej wykorzystać ten czas w inny sposób. I z pewnością zastosowanie tej umiejętności jest dość ograniczone, chyba że ktoś ma wielką potrzebę ukrycia własnej tożsamości. Z tego właśnie powodu Ministerstwo Magii prowadzi Rejestr Animagów, bo nie ulega wątpliwości, że taka czarodziejska umiejętność bardzo się przydaje tym, którzy są zaangażowani w jakąś potajemną, często kryminalną działalność¹³.

¹² Czarodzieje i czarownice utrwaleni na magicznych fotografiach i portretach poruszają się, a w przypadku portretów nawet mówią. Inne rzadkie artefakty magiczne, takie jak Zwierciadło Ain Eingarp, również ujawniają o wiele więcej niż nasze statyczne podobizny krewnych i przyjaciół. Duchy są przezroczystymi, poruszającymi się, mówiącymi i myślącymi wersjami tych czarownic i czarodziejów, którzy z różnych powodów pragnęli pozostać między nami. JKR.

¹³ Profesor McGonagall, dyrektorka Hogwartu, prosiła mnie, abym wyraźnie zaznaczyła, że stała się

Można powątpiewać, czy naprawdę żyła kiedyś praczka obdarzona zdolnością zamieniania się w królika, ale niektórzy historycy skłaniają się do hipotezy, zgodnie z którą pierwowzorem Mary była dla Beedle'a słynna francuska czarodziejka Lisette de Lapin, która w 1422 roku została w Paryżu oskarżona o uprawianie czarów. Ku zdumieniu strzegących jej mugoli, którzy później próbowali pomóc jej w ucieczce, Lisette znikła z więziennej celi w noc przed swoją egzekucją. Choć nigdy nie udowodniono, że Lisette była animagiem, któremu udało się prześliznąć między prętami kraty w okienku celi, po jej zniknięciu widziano wielkiego białego królika płynącego przez kanał La Manche w kociołku z żaglem, a podobny królik został później zaufanym doradcą na dworze króla Henryka VI¹⁴.

Król z baśni Beedle'a jest głupim mugolem, w którym magia wywołuje jednocześnie strach i pożądanie. Wierzy, że może stać się czarodziejem, ucząc się na pamięć zaklęć i wymachiwania różdżką¹⁵. Nie ma zielonego pojęcia o prawdziwej naturze magii i czarodziejstwa, więc łatwo daje się nabrać zarówno szarlatanowi, jak i Marze. Jest to sposób myślenia bardzo typowy dla mugoli: nic nie wiedząc o prawdziwej magii, są gotowi uwierzyć w największe o niej bzdury, a więc i w to, że Mara mogła się zamienić w myślące i mówiące drzewo. (Warto w tym miejscu jednak zauważyć, że podczas gdy Beedle używa w swojej baśni elementu mówiącego drzewa, aby ukazać ignorancję mugolskiego króla, każe nam równocześnie uwierzyć, że Mara jako królicica potrafi mówić. Może to być licencja poetycka, ale jestem raczej skłonny sądzić, że Beedle tylko słyszał o animagach, a nigdy żadnego nie spotkał, bo to jedyne w jego baśni odstępstwo od praw magii. Kiedy animag przybiera zwierzęcą postać, traci zdolność mówienia po ludzku, choć zachowuje ludzką zdolność do myślenia i rozumowania. Na tym polega, o czym wie każdy uczeń w szkole, zasadnicza

animagiem tylko w wyniku swoich głębokich studiów nad szeroko pojętą transmutacją oraz że nigdy nie wykorzystwała swojej zdolności do zamieniania się w burą kotkę dla jakichś nielegalnych, tajnych celów. Nie można do nich zaliczyć jej całkowicie uprawnionej działalności w Zakonie Feniksa, gdzie tajność była warunkiem pozytywnego działania w walce ze złem. JKR.

¹⁴ Mogło to być jednym z powodów, dla których uważano tego króla za chorego umysłowo.

¹⁵ Jak wykazały intensywne badania przeprowadzone w Departamencie Tajemnic w 1672 roku, czarodziejem lub czarownicą jest się wyłącznie z urodzenia. Co prawda zdarzają się niekiedy osoby pochodzące z rodzin mugolskich, które mają quasi-magiczne uzdolnienia (choć późniejsze badania zdają się dowodzić, że w rodowodzie takich osób zawsze można znaleźć jakąś czarownicę lub czarodzieja), ale w zasadzie mugole nie są obdarzeni magiczną mocą. W najlepszym – lub najgorszym – wypadku mogą się spodziewać przypadkowych i niekontrolowanych skutków użycia przez nich prawdziwej różdżki, która będąc narzędziem rzucania zaklęć, czasami zachowuje w sobie szczątkową moc uwalniającą się samorzutnie w dziwnych momentach. Zob. również moje uwagi na temat magicznego różdżkarstwa do baśni *Opowieść o trzech braciach*.

różnica między byciem animagiem a transmutacją w zwierzę. W tym drugim przypadku człowiek staje się po prostu zwierzęciem, które nic nie wie o magii, jest nieświadome, że kiedyś było czarodziejem i samo nie potrafi powrócić do swojej oryginalnej ludzkiej postaci). Bardzo możliwe, że wprowadzając do baśni motyw bohaterki udającej, że przemienia się w drzewo, i grożącej królowi bólem odczuwanym po ciosie siekierą, Beedle inspirował się prawdziwymi magicznymi tradycjami i praktykami, drzewa, z których wyrabia się różdżki, zawsze były bardzo chronione przez opiekujących się nimi wytwórcami różdżek, a ścięcie takiego drzewa pociąga za sobą do dziś ryzyko nie tylko rozłazenia nieśmiałków¹⁶, zwykle gnieźdzących się w jego gałęziach, ale i narażenia się na groźne skutki zaklęć ochronnych rzuconych przez właściciela drzewa. Za czasów Beedle'a zaklęcie Cruciatuś jeszcze nie było zaliczane do Zaklęć niewybaczalnych¹⁷, a mogło ono spowodować skutek identyczny z tym, czym Mara zagroziła królowi.

¹⁶ Pełny opis tych dziwnych małych mieszkańców można znaleźć w dziele *Fantastyczne, zwierzęta i jak je znaleźć*.

¹⁷ Cruciatuś, Imperius i Avada Kedavra zostały po raz pierwszy zaliczone do Zaklęć Niewybaczalnych w 1717 roku; ustalono wówczas srogie kary za ich użycie.

Opowieść o trzech braciach

Było raz trzech braci, którzy wędrowali opustoszałą, krętą drogą o zmierzchu.

Doszli w końcu do rzeki zbyt głębokiej, by przez nią przejść, i zbyt groźnej, by przez nią przepłynąć. Bracia znali się jednak na czarach, więc po prostu machnęli różdżkami i wyczarowali most nad zdradziecką tonią. Byli już w połowie mostu, gdy drogę zagroziła im zakapturzona postać.

I Śmierć przemówiła do nich. Była zła, że tym trzem nowym ofiarom udało się ją przechytrzyć, bo zwykle wędrowcy tonęli w rzece. Nie dała jednak za wygraną. Postanowiła udawać, że podziwia czarodziejskie uzdolnienia trzech braci, i oznajmiła im, że każdemu należy się nagroda za przechytrzenie Śmierci.

I tak, najstarszy brat, który miał wojownicze usposobienie, poprosił o różdżkę, której magiczna moc przewyższałaby moc każdej z istniejących różdżek, za pomocą której zwyciężyłby w każdym pojedynku – różdżkę godną czarodzieja, który pokonał Śmierć! I Śmierć podeszła do najstarszego drzewa rosnącego nad brzegiem rzeki, wycięła z jego gałęzi różdżkę i dała najstarszemu bratu, mówiąc: „To różdżka z czarnego bzu, zwana Czarną Różdżką. Mając ją w ręku, zwyciężysz każdego”.

Drugi w kolejności starszeństwa brat, który miał złośliwe usposobienie, postanowił jeszcze bardziej upokorzyć Śmierć i poprosił o moc wzywania umarłych spoza grobu. I Śmierć podniosła gładki kamień z brzegu rzeki, dała mu go i powiedziała, że ów kamień ma moc ściągnięcia umarłego zza grobu.

Potem Śmierć zapytała najmłodszego brata, co by chciał od niej dostać. A był on z nich trzech najskromniejszy, a także najmądrzejszy, więc nie ufał Śmierci. Poprosił o coś, co pozwoliłoby mu odejść z tego miejsca, nie będąc ściganym przez Śmierć. I Śmierć, bardzo niechętnie, wręczyła mu swoją Pelerynę-Niewidkę.

Wówczas Śmierć odstąpiła na bok i pozwoliła trzem braciom przejść przez rzekę i powędrować dalej, co też uczynili, rozprawiając o przygodzie, która im się przytrafiła, i podziwiając dary Śmierci.

I zdarzyło się, że trzej bracia się rozstali, każdy poszedł własną drogą.

Pierwszy brat wędrował przez tydzień lub dwa, aż doszedł do pewnej dalekiej wioski i odszukał czarodzieja, z którym się kiedyś pokłócił. Mając Czarną Różdżkę w ręku, nie mógł

przegrać w pojedynku, który nastąpił. Zostawił ciało martwego przeciwnika na podłodze, a sam udał się do gospody, gdzie przechwalał się głośno mocą swojej różdżki, którą wydarł samej Śmierci i dzięki której stał się niezwyciężony.

Tej samej nocy do najstarszego brata, który leżał w łóżku odurzony winem, podkraść się inny czarodziej. Zabrał mu różdżkę i na wszelki wypadek poderżnął gardło.

I tak Śmierć zabrała Pierwszego brata.

Tymczasem drugi brat powędrował do własnego domu, w którym mieszkał samotnie. Zamknął się w izbie, wyjął Kamień, który miał moc ściągania zmarłych z grobu i obrócił go trzykrotnie w dłoni. Ku jego zdumieniu i radości natychmiast pojawiła się przed nim postać dziewczyny, z którą kiedyś miał nadleżeć się ożenić, zanim spotkała ją przedwcześnie śmierć.

Była jednak smutna i zimna, oddzielona od niego jakby woalem. Choć wróciła z grobu, nie należała prawdziwie do świata śmiertelników i bardzo cierpiała. W końcu ów drugi brat, doprowadzony do szaleństwa beznadziejną tęsknotą, zabił się, by naprawdę się z nią połączyć.

I tak Śmierć zabrała drugiego brata.

Choć Śmierć szukała trzeciego brata przez wiele lat, nigdzie nie mogła go znaleźć. Dopiero kiedy był w bardzo podeszłym wieku, zdjął z siebie Pelerynę-Niewidkę i dał ją swojemu synowi. A wówczas pozdrowił Śmierć jak starego przyjaciela i poszedł za nią z ochotą, i razem, jako równi sobie, odeszli z tego świata.

Komentarz Albusa Dumbledore'a do baśni

Opowieść o trzech braciach

Ta baśń wywarła na mnie wielkie wrażenie, kiedy byłem małym chłopcem. Po raz pierwszy usłyszałem ją z ust matki i wkrótce najczęściej o nią właśnie prosiłem na dobranoc. Prowadziło to często do kłótni z moim młodszym bratem Aberforthem, który wolał bajkę *Koza Gdera*.

Morał *Opowieści o trzech braciach* jest bardzo czytelny: wszelkie wysiłki człowieka, by wymknąć się spod wszechwładzy Śmierci, są z góry skazane na niepowodzenie. Rozumiał to tylko trzeci brat z tej baśni („najskromniejszy, a także najmądrzejszy”) i nawet po tym, jak udało mu się raz umknąć przed Śmiercią, miał już tylko nadzieję, że uda mu się przedłużyć czas dzielący go od następnego z nią spotkania. Ten najmłodszy brat wiedział, że urąganie Śmierci i kuszenie jej – poprzez dokonywanie czynów przemocy, jak pierwszy brat, albo poprzez uleganie mamidłom mrocznej sztuki nekromancji¹⁸, jak drugi brat – jest zmaganiem się z przebiegłym przeciwnikiem, który nie może przegrać.

Jest paradoksem, że wokół tej baśni narosła dziwna legenda, która wyraźnie zaprzecza przesłaniu zawartemu w oryginalnej opowieści. Według tej legendy dary Śmierci – niezwyciężona różdżka, kamień mający moc przywracania życia umarłym i niezniszczalna peleryna-niewidka – istnieją naprawdę. Legenda idzie jeszcze dalej: jeśli ktoś zostanie prawowitym właścicielem tych trzech przedmiotów, stanie się „panem Śmierci”, przez co zwykle rozumie się, że stanie się niepodatny na zranienia, a nawet nieśmiertelny.

Lekcja, której udziela nam ta baśń, może wywołać zabarwiony smutkiem uśmiech towarzyszący refleksji nad ludzką naturą. „Nadzieja nigdy nie wygasa”¹⁹ – to chyba najłagodniejsza interpretacja. Pomimo tego, że według Beedle'a dwa spośród tych trzech magicznych przedmiotów są bardzo niebezpieczne, pomimo czytelnego przesłania, głoszącego, że Śmierć kiedyś przyjdzie po każdego z nas, zawsze znajdują się tacy, którzy będą święcie wierzyć, iż w baśni Beedle'a kryje się tajne przesłanie – dokładne przeciwieństwo tego, co zostało przez niego utrwalone na piśmie. I będą przekonani, że tylko oni są na tyle mądrzy, by to zrozumieć.

¹⁸ Nekromancja jest działem czarnej magii zajmującym się próbami wskrzeszania zmarłych. Baśń Beedle'a wyraźnie wskazuje na to, że próby te są skazane na niepowodzenie. JKR.

¹⁹ Cytat ten dowodzi, że Albus Dumbledore był nie tylko bardzo odcytany w literaturze świata czarodziejów, ale znał też pisma mugolskiego poety Alexandra Pope'a. JKR.

Przekonania tego (albo raczej „rozpaczliwej nadziei”) nie wspiera żadne doświadczenie. Prawdziwe peleryny-niewidki rzeczywiście istnieją, choć nie ma ich wiele, ale baśń Beedle’a daje jasno do zrozumienia, że niezniszczalność wcale nie jest ich cechą²⁰. Przez stulecia dzielące życie Beedle’a od naszych czasów jeszcze nikomu nie udało się odnaleźć peleryny Śmierci. Wierzący w legendę darów Śmierci wyjaśniają to zwykle tak: potomkowie trzeciego brata mogą nie wiedzieć, skąd pochodzi peleryna, którą posiadają, albo wiedzą i nie chcą tego rozgłaszać, podobnie jak ich przodkowie.

Kamienia też nikt dotąd nie odnalazł. Jak już wspomniałem w komentarzu do baśni *Czara Mara i jej gdaczący pieniek*, nie jesteśmy władni wskrzesić zmarłego i wszystko wskazuje na to, że nikomu nigdy to się nie uda. Niektórzy czarnoksiężnicy tworzyli i tworzą inferiusy²¹, ale te ohydne twory są jedynie czymś w rodzaju upiornych lalek, a nie naprawdę ożywionymi ludźmi. Co więcej, baśń Beedle’a daje jasno do zrozumienia, że ukochana drugiego brata tak naprawdę nie powróciła do życia. Została wysłana na świat tylko po to, by zwabić go w szpony Śmierci, i jako posłanka zza grobu była zimna, obca, boleśnie zarazem obecna i nieobecna²².

Pozostaje nam jeszcze różdżka i tutaj zawzięci tropiciele tajnego przesłania zawartego w baśni Beedle’a dysponują wreszcie pewnymi historycznymi świadectwami, wspierającymi ich urojenia. Jest bowiem faktem, że w ciągu wieków byli czarodzieje, którzy twierdzili, iż posiadają różdżkę potężniejszą od zwykłych różdżek, a nawet „niepokonaną”. Trudno powiedzieć, czy głosili to, aby przydać sobie chwały, czy po to, by zniechęcić ewentualnych przeciwników, czy też dlatego, że naprawdę wierzyli w to, co głosili. Niektórzy z nich utrzymywali nawet, że ich różdżka zrobiona jest z czarnego bzu, tak jak owa różdżka, która podobno była dziełem Śmierci. Takim różdżkom nadawano różne nazwy, na przykład Różdżka Przeznaczenia albo Kostur Śmierci.

Nie jest niespodzianką, że wokół naszych różdżek narosło przez wieki wiele przesądów, bo w końcu są naszymi najważniejszymi narzędziami magicznymi i najbardziej skuteczną

²⁰ Peleryny-niewidki nie są niezniszczalne i niezawodne. Mogą się porwać albo z upływem czasu utracić przejrzystość, ich magiczna moc może ulec osłabieniu, można też pokonać ich skuteczność odpowiednimi zaklęciami ujawniającymi. Dlatego czarownice i czarodzieje, którzy pragną się ukryć, wykorzystują przede wszystkim zaklęcia zwodzące. Albus Dumbledore potrafił rzucać tak po tężne zaklęcie zwodzące, że stawał się niewidzialny, nie korzystając z peleryny-niewidki. JKR.

²¹ Inferiusy to trupy ożywione za pomocą czarnej magii. JKR.

²² Wielu krytyków sądzi, że inspiracją Beedle’a był Kamień Filozoficzny, z którego można uzyskać dający nieśmiertelność Elixir Życia.

bronią. Niektóre różdżki (a więc i ich właściciele) są uważane za niepasujące do siebie:

*Dąb i ostrokrzew w parze nie chodzą,
Połączone – nie dzieci, lecz kłopoty rodzą.*

Są też przesady dotyczące charakteru właścicieli różdżek:

*Jarzębina plotkuje, kasztan leniuchuje,
Jesion jest uparty, orzech pojękuje.*

No i oczywiście znane jest też równie nieuzasadnione porzekadło na temat różdżki z czarnego bzu:

Bez czarny – los marny.

Trudno powiedzieć, co bardziej przyczyniło się do tego, że wytwórcy różdżek niechętnie sięgają po gałęzie czarnego bzu: baśń Beedle'a, w której różdżka Śmierci właśnie z tego drewna pochodzi, czy tradycja historyczna, zgodnie z którą żądni władzy lub hołdujący przemocy czarodzieje uparcie twierdzili, że ich różdżki są zrobione z czarnego bzu.

Najwcześniejsza udokumentowana wzmianka o różdżce z czarnego bzu, odznaczającej się wyjątkowo groźną mocą, łączy się z osobą Emeryka, zwykle zwanego „Diabłem”, który w swoim krótkim życiu zdołał sterroryzować w średniowieczu całą południową Anglię. Umarł tak, jak żył, w pojedynku z czarodziejem Egbertem. Nie wiadomo, co się stało z Egbertem, choć warto pamiętać, że lubujący się w pojedynkach średniowieczni czarodzieje na ogół nie żyli długo. Zanim powstało Ministerstwo Magii, które wprowadziło zakaz uprawiania czarnej magii, pojedynki zwykle kończyły się czyjąś śmiercią.

Sto lat później inny ciemny typ, Godelot, utrwalił na piśmie zbiór czarnoksiężskich, groźnych zaklęć, korzystając z różdżki, którą w swoim dzienniku tak opisał: „moja wielce złośliwa i przebiegła towarzyszką, o ciele z sambukusa²³, wybornie znająca najczarniejsze zakamarki magii”. (*Najczarniejsze zakamarki magii* to tytuł najbardziej znanego dzieła Godelota).

Godelot uważa więc swoją różdżkę za niezastąpioną pomocnicę, prawie swoją

²³ Dawna nazwa czarnego bzu wywodząca się z łaciny.

mistrzynię. Znaczący różdżek²⁴ zgodzą się, że wchłaniają one wiedzę i doświadczenie swoich właścicieli, choć dzieje się to w sposób trudny do przewidzenia i nie zawsze korzystny. Trzeba wziąć pod uwagę różne dodatkowe czynniki, takie jak relacje między różdżką a tym, kto jej używa, aby przewidzieć, czy dana różdżka będzie skłonna współpracować z jakąś konkretną osobą. W każdym razie owa hipotetyczna różdżka, przekazywana przez wielu czarnoksiężników z rąk do rąk, z pewnością wykazywałaby skłonność do najbardziej niebezpiecznej magii.

Większość czarownic i czarodziejów woli mieć różdżkę, która ich „wybrała”, niż taką, która pochodzi z drugiej ręki i przywykła do zwyczajów poprzedniego właściciela, i mogłaby odstawać od stylu uprawiania magii nowego właściciela. Powszechna praktyka grzebania (lub spalania) różdżki razem z ciałem jej właściciela także ma na celu zapobieżenie przechodzeniu jej z rąk do rąk. Ci, którzy uparcie wierzą w legendę o Czarnej Różdżce, utrzymują jednak, że na skutek sposobu, w jaki zawsze przechodziła ona z rąk do rąk – a więc w wyniku zwycięstwa kolejnego czarnoksiężnika nad jej poprzednim właścicielem, zwykle polegającego na pozbawieniu go życia – Czarna Różdżka nigdy nie została pogrzebana lub spalona, ale przetrwała do naszych czasów, gromadząc w sobie mądrość, doświadczenie i magiczne zdolności wszystkich kolejnych właścicieli, i na tym właśnie polega jej nadzwyczajna moc.

Godelot dokonał żywota we własnej piwnicy, gdzie go zamknął jego szalony syn, Hereward.

Należy przyjąć, że Hereward odebrał ojcu różdżkę, bo inaczej ten ostatni z pewnością uciekłby z piwnicy, ale co zrobił z nią jego syn, tego pewni być nie możemy. Wiemy tylko, że różdżka, którą jej ówczesny właściciel, Barnabas Deverill, nazywał „Holundrem”²⁵, pojawiła się na początku XVIII wieku i że ów Deverill zyskał sławę niezwykle groźnego czarnoksiężnika. Pokonał go cieszący się taką samą sławą Loxias, który nazwał tę różdżkę „Kosturem Śmierci” i niszczył nią każdego, kto mu się nie spodobał. Trudno prześledzić dalsze dzieje różdżki Loxiasa, bo wielu chlubiło się tym, że go uśmierciło, włączając w to jego własną matkę.

Myśląc o czarownicy i bystrego czarodzieja badających dzieje Czarnej Różdżki musi uderzyć fakt, że każdy jej kolejny właściciel²⁶ wszem wobec głosił, iż póki nią włada, jest „niezwyciężony”, podczas gdy już sama jej historia – sposób, w jaki przechodziła z rąk do rąk – dowodzi, że jej właściciele ginęli, dzierżąc ją w dłoni, a co więcej, że kłopoty lgnęły do niej jak muchy do Kozy Gburek. Poszukiwanie Czarnej Różdżki tylko potwierdza to, co miałem

²⁴ Tacy jak ja.

²⁵ To jeszcze inna stara nazwa czarnego bzu.

²⁶ Żadna czarownica nigdy nie chlubiła się posiadaniem Czarnej Różdżki. Możecie o tym myśleć, co chcecie.

możność wielokrotnie stwierdzić w swoim długim życiu: ludzie mają dziwną skłonność do wybierania tego, co prowadzi ich do zguby.

Lecz któż z nas okazałby mądrość trzeciego brata, gdyby miał możliwość zdobycia darów Śmierci? Czarodzieje pożądają władzy tak samo jak mugole – ilu oparłoby się pokusie posiadania „Różdżki Przeznaczenia”? Kto, utraciłszy ukochaną osobę, oparłoby się pokusie użycia Kamienia Wskrzeszenia? Nawet mnie, Albusowi Dumbledore’owi, najłatwiej byłoby wyrzec się chyba tylko Peleryny-Niewidki, co wskazuje na to, że choć niby jestem taki mądry, to w istocie rzeczy jestem takim samym głupcem jak każdy z nas.